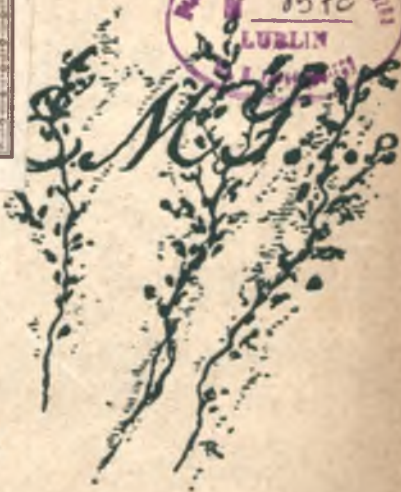


27088

B.P. im. L.

DUBLIN



25

J

F



27088.

~~Stowarzyszenie~~

# JEDNODNIÓWKA

PAMIĘCI PIERWSZEGO ZJAZDU  
NAUCZYCIELSTWA POLSKIEGO  
w WILNIE w SIERPNIU 1919 R.



NA KORZYŚĆ SCHRONISKA  
NAUCZYCIELEK - WETERANEK w WILNIE.

88072

# ŻYJEMY...

. . . Ten tylko więzy przetnie,  
Kto namaszczone cnoty znakiem,  
Że na ziemi żyć Polakiem —  
To żyć bosko i szlachetnie.

(*Krasinski* „Psalm miłości”).







# Żyjemy...

*Sto lat nahajki, trzy — pruskiego buta,  
Sto pięć dni rządów oszalałej dziczy,  
Ziemia obręczą nienawiści skuta  
Strumieni krwi swej i łez swych nie zliczy...*

*Hej! zaszumiały proporce orłowe  
I oderwane dźwignęło się ramię  
Na boje nowe i na światło nowe!  
Już pięść moskiewsko-pruska go nie złamie.*

*Żyjemy, Polsko! To my, twoje dzieci  
Wierne tak dzisiaj, jak w biegu stuleci.  
Gdy łeb trzygłowej odcięty już hydrze —  
Ojczyzno! Polsko!*

*Kto nas tobie wydrze?*

*Wanda Stanisławska.*





## Dwie łzy.

---

O ile powiększycie i polepszycie duszę waszą, o tyle polepszycie prawa wasze i powiększycie granice.

*Mickiewicz.*

— Ach, ciociu,—wołał kilkunastoletni chłopak wbiegając do przedpokoju i rzucając z rozmachem czapkę uczniowską na stół, — „oni“ znowu urządzają jakieś swoje „narodowe“ obchody w szkole i każą nam być pod groźbą złych stopni kwartalnych ze sprawowania. Zapraszają nawet wszystkich naszych rodziców i opiekunów. Czy ciocia pójdzie?

Twarz starszej osoby, do której te słowa były zwrócone, przyoblekł wyraz bólu i rezygnacji.

— Muszę — rzekła. Dowiadywałam się, radziłam z osobami kompetentnymi. Za moją „niebłagonadiożność“ mogliby wam zabronić mieszkać u mnie i zalecić swoje ogólne stancje. Wiadomo zaś, jaki tam duch panuje.

— O! niedoczekanie ich!—przerwało naraz kilka młodych kogucich głosików.

— Wy — kończyła starsza osoba,—pójdziecie tylko rano, na sam obchód do szkoły. Ja zjawię się tam pod koniec, by mię widzieli. Tak robi i ojciec Jasia, mecenas W. Razem z wami wyjdziemy. Zgodzicie się chyba na to, aby żadne wieczorne przed-



stawienia i kinematografy dla pociągnięcia was urządzane, aby one właśnie was nie pociągnęły.

— Ależ naturalnie — zadzwięczały znowu kogucie głosy wyrostków, zasiadających do posiłku.

— Tem bardziej, że to dziś czwartek i mamy historję Polski z panną Marją o szóstej, a potem zebranie naszego kółka narodowego, czego za żadne skarby nie opuścimy nigdy, — mówił chłopak o jasnym spojrzeniu.

— Nie pleć, Kazio, toż dziś nie czwartek lecz środa, i nie historja a literatura, kółko zaś jutro, — replikował inny.

— Jemu widocznie kuzynka Zosia całkiem we łbie przewróciła, iż się tak zapomina — żartował trzeci. Toż na ostatniem zebraniu siedząc przy niej, zapomniał spełnić swą czynność, spuścić rolety. Szpicle z naprzeciwka mogą zrobić teraz rewizję u panny Marji za „tajne nauczanie niedozwolonych przedmiotów“ i nasze wykłady przepadną.

— To przeniesiemy je gdzieindziej, panna Marja wynajdzie mieszkanie, albo mało mieszkań w Wilnie! A ich licho porwie prędzej czy później,—kończył sentencjonalnie najstarszy z chłopców.

Po godzinie rozlegało się w mieszkaniu tylko wykuwanie łłowajskiego i wyliczanie monotonne „siól“ rosyjskich, w których wyrabiają perkaliki, a w których zabawki, — przypominało to wielce owe sławne Sienkiewiczowskie małpy ogoniaste i bez ogona.

Smutna twarz Kościuszki ze ściany zdawała się patrzeć z boleścią na tę mękę polskich dzieci.

Po paru dniach zgromadził je nakazany obchód w „gimnazji“.

Zieloność, kwiaty, dywany, jakieś biusty dekorowane, jakiś odczyt w obcej mowie, wreszcie gromka pieśń „Boże Caria chrani“.

Usta malców kurczyły się nerwowo w bolesnem milczeniu, podczas gdy różnojęzyczni obcokrajowcy darli się w niebogłosy.

Dwie postacie starszych osób, co tu się znalazły, cofnęły się do bocznej klasy przy pierwszych słowach „hymnu“.

Mężczyzna zapalał drżącą ręką papierosa, po twarzy kobiety spływała ciężka łza, a oczy jej wpatrzone w wieżycy kościelne, rysujące się za oknem, zdawały się mówić: „Boże i Ty to widzisz i Ty na to pozwalasz!“.

Koniec „uroczystości“. Gremjalne rozchodzenie się z książeczkami „patriotycznymi“, rozdawanemi hojnie „na pamiątkę“ tego dnia.

Pamiątka niedługotrwała, bo ryciny posłużyły malcom w tej chwili za cel do strzelania.

— Tadek, patrz, już mu nos odstrzeliłem.

— A ja całą głowę — wołał drugi i prześcigali się w tym sporcie.

Postać Kościuszki ze ściany zdawała się wznieśioną ręką błogosławić nieletnim mścicielom.

## II.

Minął rok. drugi, czwarty, nie minęło ich dzieść. gdy świat cały stanął w ogniu wszechświatowej wojny. Runęły despotyczne trony i niewola.

Malcy, dziś młodzieńcy, nosili szable u boku a nad czołami orły białe, jak przed najazdem wroga.

Ulice rozbrzmiewały pieśniami legjonów, a któryś z najmasywniejszych gmachów, co przybierał się wieki całe służyć „obuczaniu“ odpornej miejscowej ludności, posłużył właśnie do skupienia pierwszego od lat stu kilkudziesięciu Zjazdu nauczycielstwa polskiego na tej ziemi.

Szereg wykładów, odczytów, narad w ojczystej mowie i nad ojczystymi sprawami, skupił w tym gmachu ludzi u stóp Orła i Pogoni, u stóp portretów Mickiewicza i bohaterów narodowych, ozdobionych tylko pękami malw wiejskich.

Słowa: „Sejm, Rząd polski, szkoła polska“ przesywały powietrze, jak złote strzały. Mózg nie mógł wprost objąć jeszcze tego, iż n a p r a w d ę jesteśmy wyzwoleni i u siebie, tu, gdzie tyle pokoleń deptał wróg!

Po słowach ostatniego mówcy i podziękowaniach złożonych zasłużonym oficjalnie w oświacie, buchnęła naraz z żywiołową siłą śpiewana przez młodzież bohaterska pieśń Konopnickiej: „Nie rzucim ziemi, skąd nasz ród, Nie damy pogrześć mowy, Polski my naród, polski lud, Królewski szczep piastowy... Pójdziem, gdy zagrzmie złoty Róg... Tak nam dopomóż, Bóg“!

Obecni słuchali pieśni ze wzruszeniem. Po licu starszej kobiety spływała tym razem łza szczęścia, że los pozwolił jej dożyć tak wielkiej uroczystej chwili. „Wysłuchałeś nas Boże“ szeptały drżące usta.

Tak. Ofiarna, mrówcza praca wydała owoce.  
Tajne nauczanie prywatnej nauczycielki zam-  
knięte złotą klamrą zwycięstwa.

Cześć wam, ogniska domowe i cześć Ci, nau-  
czycielko-weteranko, coś wykuła dzisiejszy dzień Zmart-  
wychwstania.

*Władysława Życka.*

1919 r. wrzesień  
Wilno.



. . . O, bo zaprawdę  
nie skuje wróg  
Swobodnej duszy,  
bo dał ją Bóg:  
— W melodję zmieni  
kajdanów zgrzyt —  
— Przyśpieszy złotej  
wolności świt!

*St. Sw.*





## ...Więc górą serca!

Zwiastun swobody  
kroczy drogą nową, —  
Zawitał ku nam  
w jasnej aureoli,  
On nam wskazuje  
jutrzenkę różową,  
Jaśniejszą przyszłość,  
Kres naszej niedoli!...

Gwiazda promienna  
ziszczonych nadziei  
Wchodzi potężna  
na horyzont świata,  
Kędy w przestworach  
wśród losów kolei  
Szerokim szlakiem  
srebrnopióry wzlata!

Zorza wolności  
rzuca iskier smugi  
Na nasze kraje,  
na wszystkie dzielnice...  
...W bratnim uścisku  
poczną żywot długi,  
Jak nierozłączne  
rodzone siostrzyce . . .

. . . . .



Razem z niewolą  
spadają kajdany.  
Wolność zjednoczy  
ludy, partje, stany . . .  
. . . Więc górą serca!  
ku nam się przychyła  
Szala przeznaczeń . . .  
To dziejowa chwila,  
Co mocą swoją  
mogilę rozwarła . . .  
. . . I zmartwychwstaje  
Ta — co nie umarła!

*St. Sw.*



Poznać, zrozumieć, by pokochać.

*F. Ruszczyc.*



## Z niedawnej przeszłości.

... dzień się budzi,  
I zorza wstaje złota—  
To polska szkoła polskim dzieciom  
Otwiera jasne wrota...

*Z. Rabska.*

---

Niewielka izdebka na poddaszu przy jednej z cichych ulic przedmieścia. Skrzypiące drewniane schody. Jedno okno i jedne drzwi. Na ścianie obrazek Ostrobramskiej, na tle jodłowych gałązek. Pośrodku stół z desek sosnowych, dokoła długie zydle.

To szkółka polska...

Żadnych obrazków, map, pomocy naukowych,—tylko tablica, sklecona z gładkich deseczek, pomalowanych na czarno, wzbudzić by mogła podejrzenie.

Nad stołem cały wieniec pochylonych główek dziecięcych. Niezgrabne paluszki kreślą ołówkiem literki na luźnych kartkach papieru, które nauczycielka przynosi ze sobą i przed lekcją pisania rozdaje dzieciom.

Zeszyty to rzecz niebezpieczna—i schować niełatwo i do szkoły nosić niewygodnie: w zanadru na nic się zgniecie, a w rękach toby jeszcze jaki spozstrzegawczy policjant dojrzał i zaczął śledzić nieostrożnego dzieciaka. A taka sobie luźna kartka w razie „niebezpieczeństwa“ zgniata się błyskawicznie

i wpycha się — choćby za kołnierz. Po skończonej lekcji pisania nauczycielka kartki porządnie zbierze, zwinie taki cieniutki rulonik — niby nic — i schowa do mufki lub do kieszeni.

— Uważnij, Adasiu, daj, ja ci pomogę — i dłoń nauczycielki obejmuje zeszytniałą z wysiłku rączkę chłopca i powoli, ostrożnie prowadzi wraz z ołówkiem po kratkach papieru.

— Najpierw takie wydłużone kółko, tak — a teraz podpórkę, żeby się kółko mocniej trzymało... Tak!... Dobrze!... Jak się ten znaczek nazywa, Adasiu?

— A-a a -- wołają wesoło dzieci razem z Adasiem.

— Doskonale! A teraz spróbujmy napisać *la*...

— To taka wysoka zakręcona pałeczka i a — wyjaśnia głośno mała Michasia.

I znowu zaparte oddechy — cisza — skupienie — zaciśnięte paluszki stwarzają nową sylabę.

— Już, „panięku“! — odetchnęło z ulgą kilkanaście piersi i oczęta radości i zaciekawienia pełne zwracają się do panienki.

Szybko upływa lekcja pisania. Tyle z niej radości i zadowolenia! Coraz to nowe literki, wyrazy... a panienka o każdej literce coś wesołego powie, tak jakoś wszystkie zgrabnie dobierze, że i Jaśkowi, i Felce, i Mani, i wszystkim się zdaje, że już pisać umieją.

— Dość już na dzisiaj pisania, dzieci, oddajcie mi papier i weźcie elementarzyki.

Zaszeleściły kartki elementarzyka.

— Panienko, ja teraz będę czytać!—serdecznym głosi kiem prosi mały Antoś.

— Nie, nie! On wczoraj pierwszy czytał. Dzisiaj ja, panienczko—broni swoich praw smutna kaleka Tacia.

Rażno idzie czytanie. Już znajome, bo z mozołem przed chwilą wypisywane sylaby i wyrazy, jak żywe, występują z kartek elementarza, a tuż obok takie same drukowane.

A jak się czytanie skończy, to panienka będzie opowiadać o królach polskich, o wojnach z Niemcami, Moskalami... Wtedy to dzieci wiszą na ustach panienki, wchłaniając każde jej słowo. A jak szybko wierszyków się uczą, jak butnie na dwa głosy deklamują Staś i Franuś:

Kto ty jesteś?

Polak mały!

a gdy dojdą do słów: Czy ją kochasz? to już nie wytrzymuje rygoru szkolnego cała gromadka i woła:— Kocham szczerze!

Już-już czytanie ma się ku końcowi, już myśli dzieci lecą ku temu, co też panienka dzisiaj o Polsce opowie, gdy nagle jakoś niezwykle zaczęły skrzypieć drewniane schody... czyjeś ciężkie stąpanie i to kilku par nóg... brzęk ostróg... Jedna sekunda wsłuchania się, a już cała izdebka wie, co to znaczy...

— Panienko, gorodowoj! — pełen grozy szept przebiega po izdebce.

Elementarze giną w zanadrzach dzieci, panienka w mgnieniu oka ściera z tablicy pisane przed godziną litery, bierze do ręki książeczkę katechizmówkę



i głosem zlekka drżącym każe kalece-Teci wyliczyć dziesięć przykazań Boskich.

— Jam jest Pan Bóg twój, który cię wywiódł z ziemi egipskiej, z domu niewoli... — brzmią pełne powagi słowa Dekalogu w chwili, gdy pchnięte silnie roztwierają się drzwi izdebki i na progu stają — sam „prystaw“ z dwoma „gorodowymi“.

— Eto szkoła? — surowo zabrzmiał głos prystawa.

— Dzieci uczą się historii św. i katechizmu, przygotowujemy się do pierwszej spowiedzi—wymijająco odpowiada nauczycielka.

— A kłasnaja doskã zaczem?

— Piszemy nuty, śpiewamy pieśni kościelne.

— Czytać i pisać uczytiesz?

— Wszak pan widzi—uczymy się katechizmu.

Przenikliwe oczy prystawa ogarniają całą gromadkę i zatrzymują się na najbardziej wystraszonej twarzyczce Józia.

— Wot ty malczyk mołodiec, pokaży-ka mnie swajù kniżeczku—i ręka wroga serdecznie niby głdzi wystraszoną główkę dziecka.

Oniemiały Józio wsuwa drżącą rączkę w zana-drze i—podaje elementarzyk.

— Wot wielikoliepno! Wot mołodiec! Nu, a ty diewoczka, daj swajù kniżeczku—i szczebiotka Fela idzie za przykładem Józia.

Cisza grobowa... Mocniej zaciskają się usta nauczycielki, bardziej hardo podnosi się jej głowa i wyrazem niemej, a najwyższej pogardy, odpowiada na pełen tryumfu zwrócony ku niej wzrok prystawa.



— Wasza familja, zwanje, adres? Dietiej razognat', a wy budietie prywleczeny k sudu.

Zduszone łkanie dziatwy odpowiada na suche rozporządzenie przystawa.

Wychodzą, zabierając dowody winy nauczycielki,—zostaje gorodowik, by dopilnować wykonania rozporządzenia.

— Raschodities! raschodities! — woła niecierpliwie i rozpycha tłoczące się i obejmujące nauczycielkę dzieci.

— Wracajcie, dzieciny, do domu, a ty, Teciu, powiedz swojej mamusi, że dziś do niej wieczorem przybiegnę—musimy się naradzić—dyskretnie szepcze nauczycielka i wyrывa się z objęć dzieci.

Tegoż samego dnia o zmroku gromadka dzieciaków przy pomocy starszej kobiety przenosiła stół, zydle, tablice i—obrazek Ostrobramskiej do nowego „szkolnego lokalu“.

— Zanim sprawę rozpatrzą, zanim do sądu wezwą, my dalej pracować musimy — dzień każdy drogi—mówiła dzieciom nauczycielka.

— Zjedzą djabła, zanim teraz szkółkę znajdą— z uczuciem zemsty szeptała matka Teci.

I już nazajutrz w głębokiej suterenie szła dalej wytężona praca. Tylko jeszcze niżej pochylały się jasne główki nad elementarzykami, bo w izbie stale półmrok panował, tylko jeszcze prędzej sztywniały paluszki dzieci przy pisaniu, bo wilgotne ściany chłodem ziały, tylko coraz bardziej bladła i smutniała twarz nauczycielki, bo wszak w ciągu dnia aż trzy tego rodzaju szkółki miała do obsłużenia.





## Mickiewicz na Krakowskim Rynku.

Wichrem gniewu targany tłum, czy błogosławiony łaską pogody, w dni radości i w dni skruchy, podczas wesela i w czas żałoby, — nazaczył ostatnią metę i drogi swej kres ostatni u stóp tego pomnika...

Tu nad brukiem kamienia wyrasta żywy bruk głów, a z piersi tysięcy tu płyną słowa wyznania.

Na najwyższe świadectwo prawdy wezwawszy posąg Mistrza, tu staje trybun, poseł i wieszcz i wazy słowa najcięższe... Bo miejsce to jest przysięgą zachwytu, prawdy i miłości...

Tu, niczem do rąk szczodrośliwego żywiciela, ptactwo barwnopióre, — pędzą sztandary, szerokim skrzydłem na wietrze furkocące... A gdy ich pyszne stado obsiadzie stopnie pomnika, barwa tak mieni się i wre, — że, myślisz, duch poety ukropem żywej krwi z bruku tryska... Wieszcz śpiżowy w krzu gorzącym się objawia.

Przed królewskim frontonem Sukiennic, u stóp Poety, jak ziarnka maku szarym mrowiem sypią się głowy, aż ku brzegom rynku... I między ziemią, okrzykami tętniącą, a niebem rozwiniętym, trwa On jeden, On sam...

Tu czarny tłum w wieczór uroczysty kłębi się i do stopni pomnika przywiera niczem smoła. A zaś

nad tłumem płoną światła pochodnie, jak krwawe lzy z oczu Mistrza upadłe.

Lecz rano... Nim słońce rozegna bląhą gęstwą sinych lęków poranka, nim się zbiegnie na targ kraśny lud pól krakowskich, — cisza tu leży... Cisza — i tylko ciekną gęste mgły mleczne, a w pośród nich rzekłbyś cienia wszechrzeczy zawiązek, — grąży się pomnik.

Mgły płyną, cokol mijają, do rąk się Mistrza tulą, do ręki i do twarzy.

Patrz lepiej... Mgły stoją nieruchome, a Wieszczy Narodu w tkliwej ciszy poranka, zdaje się, idzie naprzód i dąży, dąży wciąż w wiotkich, słabych poświęceniach... A oto głowę już z nich wynurzył — głowę i ramiona budujące... Zaś od tych ramion na cały rynek i dalej, hen, na ziemie krakowskie i dalsze, inne i wszystkie, które są polskie, od tych ramion układa się mgła, jak płaszcz rozwiany, łożony, lity srebrem wszystkich rzek i wód, tkany wszystką tęczą łąnów, brzeżony złotą lamą lepszej wiosny...

*J. Kaden-Bandrowski.*







## Fiat lux!

.....

Zwykliśmy przywiązywać w programie kształceniowym — główną wagę do dziejów naszego narodu i literatury ojczystej.

Ale jeżeli nauka historii nie zostanie oparta na mocniejszym, niż to dotąd bywa — zrębie, jeśli nie zaczniemy łączyć jej z dziejami wszechświata, nie damy gruntownego podkładu nauk społecznych, prawoznawstwa, poglądu i rdzenia moralności świeckiej, — to nauka dziejów ojczyrstych stanie się ową piłką, rzuconą w przestrzeń pustą bez określonego planu, do jakiej wzbić się ma wyżyny.

Gdyż wszystko w nauczaniu zależy od sposobu pojmowania idei wszczepianych.

Jeżeli nie hołdujemy zasadzie, że nauka jest wielką spójnią, nicią wiążącą ludzkość całą po przez wszystkie wieki i wszystkie różnice położenia, stanu, że zdobycze kultury są wspólnym dobrem ogółu i wspólnym jego dorobkiem powiększane być mogą jedynie, — to odgradzając naród murem chińskim od dorobku obcego, przychodzącego od zewnątrz, — od wpływów idei, idących prądem wszechogarniającym pokolenia ludzkości, — prowadzioby się ten naród do zubożenia kultury rodzimej, do upadku — nie do rozwoju.

— — — — —



Ale oto po 90-cio letniej blisko przerwie przymusowego milczenia — tu, w Wilnie powstaje znowu Uczelnia wyższa, prześwietna Akademia Stefana Bato-rego i ci przewodnicy Jej, którzy w swe dłonie ujmą odebrane przemocą ich poprzednikom berło, — odbudują gmach wiedzy i założą jego podwaliny od nowa.

„Oto już idą, siewców tysiące... tysiące“... Ich pracom, Ich wysiłowaniom — ufajmy. Temu — zawdzięczać będziemy rozproszenie ciemności, a gdy na naszym horyzoncie ukaże się wiosenne słońce, gdy i czas zbiorów nadejdzie, przyjdą z kolei

... żniwiarze po obfite plony  
— Co zakwitną na glebie ich krwią  
[przesyconej].

*Kazimiera Ostachlewiczowa.*

Wilno.  
we wrześniu 1919 r.



## Pod Grunwald!

Zaszumiał wiatr polny wśród kłosów i traw,  
Tętentem przeleciał przez błonie!  
O jaw mi się, Polsko, w promieniach się jaw!  
W poszumie wichrowym wśród kłosów i traw,  
Królową w słonecznej koronie!

Po makach czerwonych, od miedzy na błoń  
Rycernie i zbrojno ktoś jedzie!  
Zadzwoni podkowa — bułany rzy koń...  
Rycerze to jadą od miedzy na błoń,  
A Czarny Zawisza na przedzie!

O jaw mi się, Polsko, jak byłaś za dni  
Minionej potęgi i chwały!  
Pod Grunwald huf jedzie! bułany koń rzy!  
O jaw mi się Polsko, jak byłaś za dni,  
Gdy pieśni o Tobie śpiewały!

Pod Grunwald huf jedziel! Miecz dzwoni o miecz!  
Chorągwie za wiatrem łopocą!  
Od chat naszych wara! od pól naszych precz!  
O wrogu niesyty! Miecz dzwoni o miecz,  
Na słońcu kirysy się złocą.

Zaszumiał im wicher, pokłonił się las,  
Gdy z wrogiem mieczami się zwarli...  
Wróg w pyle się czołgał, zdeptany, jak płaz!  
Zwycięzcom wiatr szumiał i kłaniał się las!  
Rycerze już dawno pomarli..

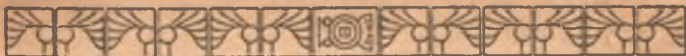
O sławo rycerna! o sławo tych pól,  
Co wonczas krwią jasną spłynęły!  
Po dawnych mogiłach przechadza się Ból...  
A młode ramiona, o sławo tych pól,  
Znowu miecz Twój, wskrzeszony, ujęły!

O Polsko, Królowo pamiętek i snów,  
Rycerze wskrzeszeni na przedzie!  
Wiatr hasło powtarza i zbroi się huf,  
O Polsko, Królowo pamiętek i snów,  
Co znowu pod Grunwald pojedzie!

*Wanda Niedziałkowska.*  
*(Dobaczewska).*

27 Maja 1918 r.





## Antonina Tomaszewska.

---

W walkach Narodu Polskiego o niepodległość nie tylko mężczyźni nieśli w ofierze krew, życie i wolność, ale i kobiety brały czynny udział, składając niezliczone dowody bohaterstwa i poświęcenia dla Ojczyzny.

Któż z Polaków nie wymawia ze czcią imion Emilji Platerówny, Raszanowiczówny, Szczanieckiej, Klaudyny Potockiej, Ewy Felińskiej, Tekli Dalewskiej i tylu innych.

W długim szeregu tych kobiet znakomitych, niepoślednie miejsce zajmuje Antonina Tomaszewska.

Urodzona w r. 1814 w pow. Rosieńskim, kształciła się w klasztorze pp. Benedyktynek w Krożach. Zdolna i chciwa wiedzy ze szczególnem zamiłowaniem uczyła się historii Polski, którą kochała całym swym małym serduszkim. Nad wczytywaniem się w dzieje ojczyzny nie jedną bezsenną spędziła noc i sporo łez wylała. Dziewczynka pałała nienawiścią do wrogów Ojczyzny i marzyła o poświęceniu się dla niej.

Gdy wybuchło powstanie 1830 roku Tomaszewska miała 16 lat. Zgrabna, o bujnych popielatych włosach, dużych szafirowych oczach i śnieżnej cerze okraszanej delikatnym rumieńcem, była skończoną pięknnością, a w całej postaci miała coś rycerskiego.

Na wieść o powstaniu Antonina postanowiła, że miejsce jej w szeregach walczących z wrogiem braci. Próżno z płaczem błagała ją rodzina o zaniechanie zamiaru, powołując się na jej płeć i wiek młody. Nic nie mogło powstrzymać dziewczyny od usłuchania głosu wzywającej do czynu Ojczyzny.

Pożegnawszy rodzinę, przełożone i koleżanki, Tomaszewska udaje się do obozu powstańców w Rosieńskim, gdzie powitał zjawiającą się ogólny okrzyk zachwytu. Nie wiedziano, co więcej podziwiać, jej nadzwyczajną piękność, czy też zapał. Stanąwszy przed wodzem oddziału, Gruzewskim, Tomaszewska opowiedziała mu cel przybycia i zażądała, by jej wskazano miejsce w szeregach.

Wzruszony Gruzewski usiłował odwieść to dziecko od szalonego zamiaru, ale próżne były jego perswazje i przedstawienia niewygód, trudów obozowych i niebezpieczeństw, na jakie będzie narażona. W końcu Gruzewski ustąpił i polecił zaliczyć Tomaszewską do kawalerji... Już po paru tygodniach nauczyła się doskonale władać lancą i szablą.

Antonina była wzorowym żołnierzem, ściśle wypełniała wszystkie obowiązki, nie zgadzając się, by ją wyróżniano i wyręczano w czemkolwiek. Miała zawsze przy sobie ukryty za pasem sztylet, aby w razie klęski pozbawić się życia, gdyż postanowiła nie oddać się żywa w ręce nieprzyjaciół. Wkrótce stała się bożyszczem swych towarzyszków broni. Prawie dziecko, zadziwiała niezwykłą siłą charakteru i wytrzymałością. Nie знаła zmęczenia, ze spokojem znosiła największe niewygody i cierpienia i nigdy skarga nie wyszła z jej ust.



Gdy inni narzekali, sarkali i rozpaczali, Tomaszewska uśmiechała się, pocieszała i wlewała w serca utuchę.

Pomimo piękności i uroku, jaki roztaczała dookoła siebie, nikt się nie poważył obrazić jej skromności dziewczęcej, bo śmiałek taki byłby wnet rozsiekany szablami całego pułku.

Bohaterska ta dziewczyna brała udział we wszystkich potyczkach, zadziwiając towarzyszków męstwem. W bitwie pod Mańkuniemi Czerkiesi natarli na oddział polski z tyłu. Wtedy generał Giełgud rozkazał kawalerji iść do ataku. Tomaszewska rzuciła się w pierwszym szeregu na wroga, i swoim przykładem tak zagrzała żołnierzy, że po krótkiej utarcce rozbili Czerkiesów, którzy pierzchnęli w nieładzie.


Gdy zwycięzcy pokryci krwią, potem i kurzem wracali do swoich, generałowie Giełgud i Chłapowski dla okazania czci Tomaszewskiej schylili przed nią broń, a wojsko, które z zapartym oddechem śledziło przebieg bitwy i podziwiała waleczność młodej bohaterki, powitało ją grzmiącym okrzykiem: „Niech żyje“.

Antonina dzieliła losy armji w czasie jej odwrotu i zawsze z jednakowem męstwem brała udział we wszystkich potyczkach. Szczególniej odznaczyła się w bitwie pod Rowendenie i Szawlami. Została z kilkunastu towarzyszami odcięta od swego oddziału. Nie namyślając się długo, rzuca się naprzód w szalonym impecie, siekąc na prawo i na lewo, przebija się przez szeregi nieprzyjacielskie i łączy ze swoimi. Za ten czyn bohaterski otrzymała nareszcie dawno zasłużone szlify podporucznikowskie.

Gdy już wszystko było stracone, Tomaszewska z korpusem gen. Rohlanda cofnęła się do Prus. Nawet prusacy podziwiali ją i okazywali uznanie tej polce-bohaterce, która—prawie dziecko—odbyła kampanję jak prosty żołnierz i na polu bitwy zdobyła oficerskie szlify.

Wkrótce potem Antonina poślubiła jednego z patriotów i otoczona ogólną czcią i miłością w szczęściu rodzinnem, jako żona i matka, spędziła resztę życia.

*Dr. Władysław Zahorski.*



## Ojczyzno...

---

W długie noce zimowe, noce gwiazdziste, śniłaś nam się, Ojczyzno.

W wieczory ciemne, pełne lęku i trwogi, jawiłaś nam się jasna, cicha.

Wrywały się ku Tobie dusze nasze stęsknione, wsłuchiwały się czujnie w szept Twej przeszłości minionej, dalekiej, zamierzchłej.

I zamierała rzeczywistość smutna --- rzeczywistością Ty się stawałaś.

W te ciche pamiętne wieczory jesienne uczyły się dusze dziecięce miłowania Twego, o Polsko.

I miłowaniem tem przejęte, rosły, a potężniały, aż tęsknić poczęły ku gwiazdnym szczytom twórczego czynu—czynu dla Ciebie, Ojczyzno.

I przed oczami, co w przyszłość sięgnąć pragnęły, stawały rycerskie sny o sławie — roily się duszom młodym ofiarne trudy i znoje bohaterskie.

W ciemne wieczory jesienne gorączką paliły się oczy, bujną falą uderzała krew, i nespokojne wrywało się serce.

Snuly się marzenia o czynie.

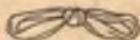
Aż przyszedł wreszcie ów dzień wyzwolin Twoich, Polsko.

I oto rzucił, On, Komendant,—Naczelnik—„Dziadek“, On, Józef Piłsudski, On, serce i moc narodu, słowo długo tajone, słowo krótkie, hartowne jak stal, twarde, jak śpiż—słowo radośne—pod broń! już czas!

Z rycerskich marzeń o czynie zrodził się czyn wojenny, zwycięski.

Ze snów dziecięcych, cudnych, z tęsknot, a marzeń młodzieńczych powstałaś jasna, promienna, umiłowana,—Ojczyzno.

*Ew-ka*



\* \*  
\* \*

Ratujmy ziemię,  
    ratujmy zagony,  
    co przemoc zniszczyła,  
Szukajmy stąd wyjścia,  
    szukajmy obrony —  
    w jedności dziś siła!

Do pług, motyki,  
    do wideł się bierzmy  
    wspólnymi siłami —  
Ostrożnie, przezornie,  
    a patrzmy, a strzeżmy...  
    a będzie Bóg z nami.

Rozbitki — wrócimy  
    do siedzib — do zgliszczy  
    zaczynać na nowo,  
Bo ojców i dziadów  
    tam pracy ni śladu:  
    — tam czarno — jałowo!

Niech serce zamilknie,  
    niech dusza nie boli —  
    — precz od nas zwątpienie:  
Przecierpim, przetrwamy . . .

. . .  
    . . . Hartujmy swą wolę  
a będzie — Wskreszenie!

*St. Sw.*





## Dla Ciebie, Matko...

---

Dziś już stoję nad grobem.

Pokryta srebrnym włosem moja biedna głowa  
a twarz poorana brózdami.

Dziś żegnając się ze światem, zmorzona cierpieniem i głodem, lecz dumna, światu przekazuję ostatnią historję mojego życia.

Miałem ich pięciu — miałem pięciu synków,  
a wszystko, jak dęby.

Jeden od drugiego mocniejszy, jeden od drugiego lepiej mnie miłował a ja ich wszystkich razem.

Pierwszy benjaminek, dziecina ma serdeczna, niepełnoletni jeszcze, tylko co w młodym wieku ukończył naszą polską szkołę, do której rwał się oddawna z głębokiej Litwy.

Nie bronilem mu! Niech idzie! Bracia pomogą!  
I poszedł nie prawa zdobywać, lecz pić ze skarbnicy Narodu!

Tam mu lepiej powiedzą, jak przodkowie, jak ojciec walczył w 63-im, będąc młodym, jak on, chłopcem.

Poszedł — aż wybuchła burza!

Tyle tylko napisał: Matko! Skończyłem. — Idę tam, gdzie mój ojciec...

I więcej nic... Nic aż do tej strasznej chwili, gdy ktoś nieznany, przyjezdny zaszedł do naszego domu...

— Syn pani prosił, żebym tu był.

Zginął jak bohater. — Został wyszczególniony w rozkazie Komendanta, a konając wyrzekł: Dla Ciebie Matko!...

Zagrała mu trąbka, a cała nasza wiara o nim nie zapomni...

Bólem ścisnęło się serce moje, lecz i dumą wezbrało... Cześć Ci, synku najmłodszy... Cześć, ptaszyno — orlątko moje serdeczne. .

Wkrótce potem trzech wyruszyło w drogę.

Nie zatrzymywałam.

Matko! Ojciec nasz bił się z Moskałem, dziad zginął na szubienicy!

Tak dzieci me! Idźcie. Nie służyć wam we wrażej armji,—Idźcie, gdzie was wzywa głos przodków...

Krótkie było pożegnanie.

Poszli przedzierać się do swoich...

I znowu płynęły chwile cichego bólu, przepelnione myślą o mych orłach, o synach moich.

A z tych co poszli — jeden tylko co skończył zwaną przez nich Alma mater! Był lekarzem...

I chociaż praw nie miał jeszcze, ale mnie, matkę swą, leczył bezprawnie tak, żem nie wiedziała, co to choroba.

Poszli moi serdeczni, poszli...

Mijały odtąd nie tylko dni i miesiące, lecz lata całe... Aż nadeszły wieści... wieśći hiobowe!

Jednego zmógł tyfus...

Mówiono, że straszną walkę z nim prowadził, że całe okolice wrywał ze śmiertelnych objęć — że szły za nim błogosławieństwa... I ja ciebie błogosła-

wię, mój synku! A gdy umierał na posterunku — ostatnie słowa jego były: Dla Ciebie, Matko!

Drugi gdzieś zginął w dalekich krajach, z bratem razem przedzierając się przez wraże szeregi, a brat pono dotarł do Francji...

Pozostał ostatni najstarszy...

— Ja ciebie, Matko, nie opuszczę...

Troskliwą otoczył mnie opieką i słodził, jak mógł, te straszne chwile.

A i nadszedł sądny dzień ten ostatni — gdy wroga z miasta wyrzucono, a wówczas wszystkie domy i wieści się sprawdziły przez usta towarzyszy mych nieboraków.

Zginęli śmiercią walecznych... Haller ich wyszczególnił w swoim rozkazie. Jeden z nich poległ w walce z Austryjakiem, drugi z Niemcami.

Piękny krzyż stoi na ich mogiłach.

Ostatnie ich słowa były: Dla Ciebie, Matko!

Już łez nie roniłam... Tylko ludzie mówili, że więcej jakby włos mój posrebrzał, żem się zgarbiła, lecz dumą wezbrało me serce...

Znowu się wróg do miasta skradał.

Chodziły wieści, że wróg luty, straszny, że zostanie po nim śmierć i zniszczenie.

Wówczas tysiące uciekały z miasta, lecz ja pomimo nalegań syna pozostałam.

Wtedy ostatni syn mój porwał za broń...

Byłam przy jego śmierci, byłam, gdy kula przeszła to ostatnie najdroższe ciało i krwawy rubin spływał przez taką małą, a tak okropną ranę — a zbladłe usta wyszeptaly — Dla Ciebie Matko!...

Dziś stoję nad grobową deską, szronem, srebrnym szronem głowa ma pokryta, cierpienie tłoczy mnie ku ziemi, lecz duma rozpiera me zbolale serce, bom pięciu synów dała...

Dla Ciebie, Matko.

Kaz. G.

## Kurjerki.

Szerokim gościńcem idą obie. Zmęczenie znac na ich twarzach od słońca złotawych.

Ku wieczorowi się ma. W przydrożnych olchach szczebiocą ptaki. Żywicą pachnie sosnowy las. Od pól zoranych, czarnych, wonie się niosą rodne, wiewy żywiące, wiosenne ciągną nad ziemią.

A one wędrują nieczule na głód, ni zmęczenie, wszak w służbę Ojczyzny zaciągnęły się chętnie, wszak przysięgły, iż nie spoczną, nie ustaną, a niepodległości Państwa Polskiego i wolności ludu wszystkie swe siły, życie i krew poświęcą.

W rozmarzeniu tęsknem patrzą kędyś w dal dziewczęce jasne oczy. Hej, tak, wszystkie swe siły, krew i życie samo... wszak to dla Polski!

Błotnistym gościńcem, w deszcz i wicher, w żar i spiekotę, wędrują tak zadowolone i radośne. Idą budzić, co uśpione, i słońce wolności zwiastować.

Moc w sobie mają ogromną, moc, co je w świat gdzieś gna, co im jest najlepszą rękojmią zwycięstwa, sowitą zapłatą, za wszelki trud — moc ogromnego kochania.

Ew ka.





## Szaty życia.

Życie nosi trzy szaty: myśli, słów i czynu.  
Pierwsza szata dziewicza, przezroczo powiewna...  
Rozdająca rycerzom gałęzie wawrzynu.  
Taką szatę przywdziewa wszechwładna Królowna.

Druga szata połyska tęczowemi blaski,  
W niej szych — zdobiony perłą, złota lama — szklami,  
Poeta tak się stroi, chciwy pańskiej łaski,  
Lub błazen, wkrąg siejący śmiech nasiąkły łzami.

A w trzecią szatę życie nie często się stroi,  
Bo ciężką jest i przepych ciężarem przygniata,  
W takiej szacie jest życie jako rycerz w zbroi,  
Który Krew swą przelewa dla zbawienia świata.

*Jadwiga Goszłowiówna.*

1918 r.







## KARTKA Z PRZESZŁOŚCI.

# Europa i Azja.

Zestawienie stosunków szkolnych w innych krajach i w szkołach rosyjskich w Wilnie do 1915 r.

Szkolnictwo, ten najważniejszy nerw życia narodów, dbających o swój byt i przyszłość, otaczane wszędzie opieką i pieczołowitością, dawało temat do rozmyślań najprzedniejszym umysłom, nad jego formą i udoskonaleniem.

Tak było i jest u wszystkich narodów cywilizowanych, kulturalnych, tak było u nas, nawet w najkrytyczniejszych chwilach dziejowych.

Nasza Komisja Edukacyjna po wsze czasy pozostanie dokumentem, świadczącym o tem, jak szczytne umysły, jak głębokie serca kierowały jej pracami i jak wysoko stanąć by mogło szkolnictwo polskie, gdyby nieszczęsne losy naszego narodu, nie przerwały nici, tak cudnie wysnuwanej i tworzącej już na całym obszarze Rzeczypospolitej ogniska, w ktyrych młodzież nasza czerpała najwytworniejszy pokarm dla umysłu, ducha i serca.

Wszystko zostało pogrzebane, zasypane obcym nalotem, wchłonięte przez muł bagnisty, zawierający zarazki chorobotwórcze, zatruwające organizmy, wnoszące w dusze zgniliznę moralną, wszczepianą nasze

młodzieży przeróżnymi środkami, aby tylko zniszczyć w niej to, co było święte, piękne i mocne: wiarę ojców, ukochanie ideałów narodowych, chęć wytrwania i przetrwania wszystkiego, choćby kosztem największych ofiar.

Nie wspomnę już o czasach dawniejszych, gdy szkoła rosyjska była dla dzieci naszych i młodzieży ponurem więzieniem, na którym, zda się, widniały słowa: „lasciate ogni speranza“ — porzuć nadzieje rozwoju ducha, polotów młodzieńczych, aspiracji szczytnych. Polskie słowo, polska książka za zbrodnię uważaną będzie, z ust twych nawet modlitwa wypływać musi dźwiękami obcej mowy, do twych ognisk domowych wtargnie szpieg, pilnujący, byś i tam nie był polakiem. Jak było wówczas, niech opowie ten, kto sam przechodził przez te katusze moralne i miał co dnia ochotę płakać krwawymi łzami, z powodu poniewierki tego, co w domu cię i kochać się nauczył.

Mówić będę o czasach „lepszych“. W czym się one wyrażały?

Zniesiono nakaz chodzenia do cerkwi w dniu świąteczne, pozwolono wyklądać religję po polsku, młodzież mogła odmawiać modlitwę przed i po lekcji w języku ojczystym. Pozwolono na wykłady języka polskiego, ale w godzinach pozaprogramowych, i za osobną dopłatą.

Dzieci i młodzież, chcąc się uczyć języka ojczystego, musiała już o 8-ej być w szkole, lub pozostawać w niej o godzinę dłużej; kto nie wniósł z góry opłaty dodatkowej, ten nie mógł uczyć się na

te lekcje; kogo władza szkolna samowolnie zaliczyła do litwinów czy białorusinów, ten nie miał prawa uczyć się języka polskiego. Gdy we wszystkich krajach kulturalnych, szkoła i rodzice, tworzą nierozzerwalną całość wpływów i opieki nad młodem pokoleniem, gdy dobroczynnymi promieniami, ku Światłu, Pięknu i Prawdzie, skłaniają się młode dusze—w szkołach rosyjskich rodzice zmuszeni byli poddawać się bez protestu nakazom szkoły, choćby one wywoływały ból w duszach i krwawiły serca, troskliwych o dusze dzieci rodziców. Bo wszelki protest groził wydaleniem ze szkoły.

W czasach tak zwanych wolnościowych zaczęto do szkół wprowadzać reformy na wzór Europy! Powstały z łaskawego pozwolenia władz szkolnych—Komitety Rodzicielskie — mające wspólnie ze szkołą dbać o dobro dzieci i młodzieży. Taką była niby podstawa Komitetów Rodzicielskich, ale już w samym założeniu ujawniła się przemoc. Prezesem Komitetu mógł być tylko ojciec wyznania chrześcijańskiego z wykształceniem uniwersyteckiem, co zresztą słuszne, ale musiał być zatwierdzony przez gubernatora, po udowodnieniu przez policję jego prawomyślności. Całe wybory musiały przejść przez sankcję gubernatora. W bardzo krótkim czasie tak ograniczono władzę Komitetów Rodzicielskich, iż istniały tylko dla tego, by gromadzić środki na opłacenie wpisów za uczniów niezamożnych.

Przed 3-ma laty, sam cień współwładzy i wspól-opieki rodzicielskiej ciężać zaczął szkołom rosyjskim. W taki sposób utrudniono wybory, iż niepodobna

było do skutku je doprowadzić i Komitety istnieć przestały.

Minister oświaty w Rosji chciał przekonać Europę, że i Rosja wprowadza reformy i nie obcą jest prądom ożywiającym szkolnictwo na świecie całym. Ruch skautowski, przeróżne związki młodzieży, popierane przez władze szkolne we wszystkich krajach, zwróciły uwagę opiekuna uczących się w Rosji i krajach zabranych. Na związki młodzieży szkolnej, na Skaut pozwolić nie można, bo to będzie zaraz „intryga polska“, jednak trzeba coś zrobić, skoro całe szkolnictwo w Europie i Ameryce drga nowem życiem, wyrabiając dzielne, hartowne, mężne pokolenia.

Tworzą się więc w szkołach rosyjskich i w Wilnie „pułki pocieszne“ przygotowujące ołowianych żołnierzyków dla obrony „Matuszki Rossii“.

Niema niby przymusu należenia do nich, ale ochotnicy otrzymują przywileje i mając najgorsze stopnie, przechodzą do klas wyższych.

Szkoły w Europie uznały, że wycieczki krajoznawcze, poznawanie pamiątek historycznych, składanie hołdów nieżyjącym bohaterom, czy genjuszom narodowym, przez odwiedzanie miejscowości, w których żyli, pracowali, lub na wieczny ułożyli się spoczynek—są niezmiernie ważnym czynnikiem w wychowaniu, w kształtowaniu się umysłu, duszy i serca dzieci i młodzieży. Szkoły rosyjskie w Wilnie poszły w ślad Europy!

Młodzież polska nie miała prawa marzyć nawet o gremjalnych wycieczkach. Nie tylko do dawnych części Polski, ale nawet do sąsiednich gubernji wy-



dalać się nie mogła. Władze szkolne urządzały wspaniałe wycieczki nad Wołgę, Kamę i t. d. pod wodzą odpowiednio dobranych, najgorliwszych pedagogów rusyfikatorów, i chciano tę młodzież naszą oślepić wielkością kultury Wschodu i przepoić czią dla Wielkiej Rosji.

Przedstawiano naiwnym rodzicom, jak wielkie korzyści odniosą synowie z tych podróży: zetkną się z wielką kulturą Wschodu, poznają jej dobrodziejstwa, no, i będą dobrze widziani w szkole, dobre stopnie, promocja będzie zapewnioną. Kto nie pojedzie, temu ciężko będzie w czasie egzaminów na maturę!

Tak mówił pedagog rosyjski! Były więc wypadki, że nawet ojcowie, zdający sobie doskonale sprawę, że dopuszczają się czynu karygodnego, wysyłali swych synów, przerażeni widmem złamanej przyszłości swych dzieci.

Wszystkie kulturalne szkoły na świecie, posiadają dobrze dobrane biblioteki, z których młodzież czerpać może zdrowy pokarm dla umysłu i duszy. Szkoły rosyjskie w Wilnie miały również swe biblioteki, ale celem ich była rusyfikacja, wyiębienie miłości do tradycji polskich, przez fałszowanie, szkolenie przeszłości Polski i wielkich jej bohaterów. Kto nie korzystał z biblioteki szkolnej, był źle widziany.

Szkoły urządzały obchody historyczne rosyjskie, jubileusze poetów rosyjskich. Na tych wszystkich uroczystościach musiała być obecną i młodzież polska, wysłuchując tendencyjnie wypowiedzianych odczytów,



by młode wrażliwe dusze przepoić czcią i uwielbieniem dla wielkiej kultury rosyjskiej, a osłabić w nich uczucie miłości i uznania dla swoich wielkich twórców.

Rodzice walczyli z tymi wpływami, pod które wciągała młodzież naszą szkoła rosyjska i tak dla rodziców, jak dla młodzieży uczącej się, lata nauki w szkołach rosyjskich były latami katongi, ciągłych udręczeń moralnych, nieustannej trwogi o przyszłość dzieci. Czwórka ze sprawowania, którą łatwo otrzymać można było za najłżejszy objaw buntu przeciw tendencjom szkolnym — zamykała drogę do dalszej nauki, jeżeli takową w uniwersytetach rosyjskich, czy wyższych szkołach prowadzić trzeba było.

Nie dziw więc, że gdy chłopiec lub dziewczyna, po otrzymaniu matury, pozostawiali mury szkoły rosyjskiej za sobą, rodzicom spadał z piersi jakby ciężki kamień a serca młodzieńcze rozpieła radość, że nareszcie wyrzeli na świat z długiego więzienia, w którym dzień po dniu karmiono ich fałszem, znieprawiano dusze, paczono charaktery, zmuszając do podstępów, chytrości, wybiegów, by móżdżek zdobywać wiedzę i w związkach młodzieży podtrzymywać ducha polskiego, nad którego zniszczeniem tak usilnie pracowały szkoły rosyjskie.

*Emilja Węstawska.*



## Nauczycielka

więzionym na Łukiszkach na-  
uczycielkom ludowych szkół  
w grudniu 1917 r.

Na progu szkoły stanęła cicha,  
Przed nią rój drobnych, dziecięcych głów,  
Na swą gromadkę patrzy i wzdycha:  
— Dziś się rok szkolny rozpoczął znów...

Rok niepewności, lęku przed władzą,  
Tajnej nauki znów długi rok...  
Oni odetchnąć nigdy nie dadzą,  
Každy ruch śledzą, każdy nasz krok...

Lecz sposepniałe już wznosi czoło:  
— Dam sobie radę, choć ciężko, źle...  
Pomogą dobrzy ludzie wokoło,  
A ja tak uczyć, tak uczyć chcę!...

I już głos czysty napelnia salę  
O tem, jak kochać ojczysty kraj,  
O Jagiellonów i Piastów chwale,  
Co Konstytucja i Trzeci Maj,

Kto ksiązę Józef był i Kościuszko,  
Kto Kochanowski, Mickiewicz, Rej —

Aż każde mocniej bije serduszko,  
Oczki zawisły na ustach jej.

A pogadanki z świata całego!  
A gimnastyka! Sokoli marsz,  
Śpiew o ułanie, pieśń Dąbrowskiego,  
Jak echo dawnych legionów szarż!...

Płynie godzina tak za godziną,  
Główki dziecięce rozjaśnia świt,  
I dni już płyną, tygodnie płyną —  
Aż nagle ranka pewnego — zgrzyt:

Dzwonek. Rozmowy szmer. Sługa wpada,  
A szpicel za nią już stoi w drzwiach.  
Nauczycielka spokojna, blada,  
Gromadkę dzieci oniemił strach...

Podły wzrok szpiega wszędzie się wślizga  
I już potokiem brutalnych słów,  
Jakby wściekłego psa śliną, bryzga:  
— Tu tajną szkołę prowadzą znów!

Es ist verboten! — wściekłość go dławi —  
Solch schmutz'ge Arbeit! Solch eine Schand!  
Fort von hier Kinder! Z panią rozprawi  
Się wyższa władza! Verfluchtes Land!

Ona, na widok germańskiej dziczey  
Rzeczey, a usta drżą jej, jak liść:  
— Panie, na dzieci tu się nie krzyczy,  
One się boją... Proszę stąd wyjść!

I tak śczyma mierzą się chwilę  
Polska dziewczyna — niemiecki szpieg,  
W oczach dziewczęcia godności tyle,  
Ze spuścił oczy i ciszej rzekł:

— Szkołę zamykam. Pani przyrzeknie,  
Dass sie wegwerfen den dummen Witz!

Ona kącikiem ust się uśmiechnie:

— Ja nie przyrzekam, mój panie — nic.

— A więc więzieniel!

— Jam już gotowa.

Wiedziała, że się to musi stać.

Wtem z ust dziecięcych ozwą się słowa:

— Nie damy naszej paniusi brać!

Do ciemnej sukni główki się cisną,

Brzmią łkania w szmerze bezładnych słów,

Jej dwie łzy szybkie z oczu wytrysną

— Cicho... no cicho... Ja wrócę znów...

Badanie, śledztwo. Dalej i dalej

Wlecze się sprawa stara, jak świat,

Och, znana w Polsce! System Moskali—

Gwałtu, bezprawia, wleziennych krat.

.....  
Kobieto polska, polska dziewczyno,

Póki twe serce tak będzie bić,

A czuć twa dusza — wieki upłyną,

A Polska będzie, o, będzie żyć!

W. Stanisławska.



## Migawki w czasie i przestrzeni.

### I.

Izba kuchenna na strychu.

Niepotrzebna, ale to nikomu niepotrzebna.

Jedyne okno, w połowie zaklejone na popękanych szybach starą gazetą, a w połowie zawieszono kawałkiem czegoś siniego, połatanego białym perkallem.

Pałap skośnie pochylony od okna ku piecowi z płytą pod ścianą przeciwległą.

Na stole lampka naftowa maleńka, ale za to bez klosza, aby lepiej świeciła.

I świecił

Widocznie komuś tego trzeba.

Światło pada na ściany, kiedyś bielone, strasząc pająki, które przetrwały mrozy, i szcury wędrowne, które ogryzają tynk w kątach.

Nieopalona kuchnia miewa swe chwile rozkoszy istnienia.

Oto staje się komuś potrzebną. Żyje.

Staje się w niej światło.

I staje się ciepło.

Kawałki drzewa palą się w piecu, skwiercząc małymi płomykami. Smugi wązkich lekkich wstążeczek dymu ciągną ku szparom okiennym i popękany szybom. Miłosierny mróz spoił kawałki szyb, przepychem srebrnych liści i bajecznych kwiatów,



i pozwala między niemi wnikać wolnemu powietrzu z zewnątrz. Pod oknem więc panuje konserwatywnie codzienna atmosfera opuszczonej kuchni: pachnie podwórką i wstrząsa dreszczem.

Koło pieca zato, od rozgrzanej płyty kuchennej jest gorąco.

Dwa prądy walczą więc w izbie, mającej dziesięć kroków długości i tyle szerokości, aby na ławach otaczających stół, pomieścić kilkanaście dziewcząt. One stanowią jedyny łącznik między tymi prądami.

I już nikt więcej między ławami i płytą przecisnąć się nie może. Tylko opary ich oddechów wypełniają luźne miejsce ponad ich główkami i pupą.

Dorośle i niedorośle, zbratane anemją i dobrowolnem wyzbywaniem się obiadów na korzyść pożądanych stroików, a czasem poróżnione o kawalerów niedzielnych lub odprowadzających ich ze szwalni wieczorami, tu — w tej chwili czują się zjednoczone.

Oczy ich lśniące ogniem młodości, z pod niesfornych „grzywek“ i loczków kasztanowatych i złocistych biegną ku stołowi.

Na stole pod lampką olbrzymi wyszczerbiony kałamarz i książki. W oczach strzelają płomyki ciekawości i pragnień.

Tyle się rzeczy pragnie na progu życia, po za ścianami szwalni!

Oprócz serdelków i ciastek, żakietu i kapelusza, spacerów przy księżycu i miłości. — pragnie się jeszcze czegoś więcej, mój Boże! pragnie się być „uczoną“.

Tylu ludzi jestuczonych, co wiedzą wszystko,

a tak mało szwaczek, któreby wiedziały cokolwiek „o nauce“!

Niczego nie można się dopytać u koleżanek. Są takie, co uczyły się w szkółkach, a czasem i w prawdziwych klasach w „gimnazji“ — ale tam tak trudno coś zrozumieć. A przytem i w cudzej mowie!

I nie pojąć wszystkiego, i opowiedzieć nie sposób.

Żebyż choć na czytanie mieć czas! i żeby wiedzieć, w jakiej książce znaleźć najlepszą naukę. Tyle książek, jak się spojrzy w księgarni. — ależ drogie! droższe od parasolki, a czasem i od kapelusza. I niewiadomo, w której z nich są takie „istorje“ co uczą o tem, jaki jest świat i ludzie, z czego zrobiona ziemia i niebo.

Przecież ciągle u wszystkich zapytywać o każdą rzecz — wstyd! I tak już zawsze mówią, że szwaczki głupie, ciemne i nieuczone. Ciekawa rzecz, kiedy i gdzie znaleźć mogą tę naukę, i skąd ją wziąć? przecież prawdziwej nauki, „swojej“, pobierać zabroniono.

A otóż one jednak znalazły ją sobie same.

Bo najważniejsza rzecz z tem pisaniem!

Ani listu wysłać, ani otrzymanego przeczytać. A jeśli i przeczytasz, nie każde słowo wyrozumiesz. I wierszy żadnych nie przepiszesz równo i czytelnie.

A już bez tego jest się całkiem „nieuczoną“.

Nawet niektórzy kawalerowie wyraźnie więcej dbają o panienki „uczone“.

Otóż one znalazły sobie same „naukę“ tu — w tej izbie, nikomu niepotrzebnej.

Zebrały się w kilkanaście, zrobiły składkę na drzewo i naftę, wynalazły taką osobę, co to wszystko wie i „całą naukę umie”—i wieczorami, po wyjściu ze szwalni, tu przychodzą i uczą się. Żeby tylko jak najprędzej, żeby tylko jak najwięcej nauczyć się, i żeby nikt nie wiedział, że dorosłe panienki takie nieuczzone. Żeby choć wiedzieć, jak to się pisze nie fałszywie, gdzie *u*, a gdzie *ó* i wszystkiego dowiedzieć się o świecie.

Mój Boże! Dla tego, to można co trzeci dzień zjeść jeden ciepły obiad, i nie żał zmoknąć i zziębnąć w późne zimowe wieczory, nim się dojdzie w ciemnościach na przedmieście do domu.

A milczeć przy tem! Bo raz—że wstyd dorosłym uczyć się, a powtóre, że nauka zabroniona. Niewiadomo dlaczego jedni drugim ludzkie nauki zazdroszą! Otóż—na przekorę! Kiedy tak, to tak! Właśnie dla tego że niewolno, tem więcej się jej chce. Skądby nie było, aby tylko chwycić.

No i przytem sekret, tajemnica! To cudna rzecz! A przez to wszystkiego dowiedzieć się i na przekorę zazdrosnemu światu zostać „uczoną”. Bo świat na to zazdrości i zabrania nauki prawdziwej, aby wyżsi mogli pogardzać tymi, co tej nauki nie mają, i aby tych niższych było jak najwięcej. Więc zabroniona nauka łatwa w swojej mowie.

A jakąż to ciekawość dowiadywać się rzeczy zakrytych oczom ludzkim — naprzykład tego, co jest we wnętrzu ziemi; albo posłuchać o tem, jak dawniej na naszej ziemi żyli ludzie i dowiedzieć się prawdy!...

Lampka kopci trochę. Opary oddechów i dym łączą dwa prądy atmosfery między piecem a oknem. Przed otworem pieca i dogasającymi główkami siedzi na podłodze czarna, skulona, obwinięta w chustkę postać, dla której niema miejsca przy stole, i niema między stołem a piecem.

Niema — bo niema! Jest jeden tylko kąt przed piecem.

A pod niskim pochyłym pułapem drgają echa jej opowiadań i dawanych odpowiedzi na rzucane z trudem pytania.

Obracają się ku niej wszystkie główki kasztanowate, czarne, i złote, jak len.

Niektóre anemiczne twarze z wypiekami mają w oczach błyski chorobliwe. Inne, na przepysznie osadzonych głowach, w pełni rozkwitu młodości, pachnące jakąś daleką wsią, jak maki czerwone na bruku zabłąkane, szafirami oczu zdziwionych i zachwyconych wyrażają wsłuchanie.

To taka jest ziemia?..

To tak się dzieje na niebie?..

To tak było dawniej?..

Piszą pióra obracane pokłutemi palcami. Borykają się z końcówkami przypadków, z całą trudnością rz i ź...

Wieniec główek nad krzywym stołem otacza aureola ze światła lampki, z oparów i dymu. Władają już piórem!

Odczytują głośno przepisane wiersze w ciągu tygodnia, od koleżanek, od znajomych kawalerów. Odczytują — tej swojej światłodawczyni.



... Niech jak kto chce, tak mię zowie,  
Jestem Polką, tem się szczycę,  
Polacy moi przodkowie,  
Polacy moi rodzice.

Nagle strwożone, kasztanowate i złote główki stykają się prawie z sobą. Twarzyczki jedne bledną, drugie stają w purpurowych ogniach.

Postać schylona przed czeluścią pieca z dogasającymi popiołami, podnosi się z kąta na podłozie.

Wszystkie patrzą w nią,—bo to ta, co wszystko wie—i „całą naukę umie“.

Po wązkich ciemnych wschodach słychać mocne stąpanie.

Kroki czyjeś silne, równe, dzwoniące podkuciem czy ostrogami...

Lampka gaśnie w jednej chwili.

W ciszy poddasza bić zaczyna gwałtownie, wśród ciemności kuchennej izby, kilkanaście młodych serc.

Nie rusz się nikt. Tylko zgłodniały szczur w kącie zaczyna znów ogryzać tynk, głośno i odważnie.

Kroki po wschodach dudnią, pod rytm skrzypiących stopni. Oddalają się w dół.

Echo zatrzaśniętych jakichś drzwi przychodzi jak akord końcowy tej tajemniczej gammy—tam za ścianą.

Jeszcze chwilka ciszy, i nagle razem z błyskiem zapalki wybucha chór przyciszonych trochę śmiechów.

Ot tak! z wesela, ze szczęścia, z młodości.

— Dobrze że *to* przyszło już na koniec lekcji,—mówi jedna.



— A cóż to? lękasz się? bo ja nie!

— O! ja ani trochę. Jeszcze czego!

— Ani myślę! Wielka rzecz!

— Dobrze, że *to* przeszło! mówi ta „co całą naukę umie“, i „wszystko wie“.

Serca jeszcze biją, ale w izdebce, mimo wygasłego już pieca i dopalającej się lampy, rozlewa się jakiś promienny czar wesela i jasności.

Główki włożą w kapelusiki, ręce ogarniają żakiety, twarzyczki roześmiane wołają:

— Dziękujemy! Dowidzenia za dwa dni!

— Tak było przyjemnie!

— Ach! jak dobrze! jak miło!

I po chwili po skrzypiących wschodach w ciemnościach jeszcze słyhać roześmiany przyciszony szczebiot ostatniej pary dziewcząt, i kilka taktów piosenki nagle urwanej.

„Pójdę za mąż—pójdę może,

„Ale strzeż mię wielki Boże

„Od każdego cudzoziemca...

Po ścianach izdebki, w ciemności leżą pająki... i słyhać skrobanie tynku.

.....

Z nieogarnionych przestrzeni przyszłości idzie nieubłagany duch mściciel ku zgnieceniui przemocy, ku blaskom i rozkwitom młodości, miłości i swobody.

Szczęśliwi... doczekają!

*Ludwika Życka.*





## Kamień Kościuszki.

Leży ów kamień, wprawiony w grudę Krakowskiego Rynku, jak tablica wielkiego przykazania... Słuchajcie bicia serc waszych dziedzice przykazań na szable zaprzysiężonych wraz z szablą w ziemię woranych...

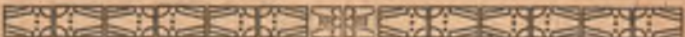
Leży ów kamień, wśród zacnego rynku kamyczków białych, taśmą ziemi czarnej brzeżonych, jak na starej kolczugi oczkach — ryngraf sławetny. Słuchajcie tętna skroni, czy w nich nie bije głos dzwonów... Dzwonów, którymi wezwano niebo na świadka Przysięgi...

Leży ów kamień w pośród stuku kroków, przejazdu chłopskich kół, przebiegu spraw codziennych... Wśród urzędzeń pokoju i rad, wśród troski o szczęście i byt, jak z bojów przegranych wydarta stronica granitowa i ciężki kamień obrazy..

Czuwajcie, czy nic prócz lauru niema i nic prócz łez, by tej stronicy treść ożywić.

Leży ów kamień na bruku u podnóża domów magnackich, jak prosta chłopska pierś... I nic, — że w dzień uroczysty oplótl ją wieniec lauru, wraz z jodłą polnym kwiatem wiązaną... I nic, że brzegi kamienia otoczył różaniec światel, jak sznur łez... I nic, — że kamień ten czułą pamięcią majony zakwita rocznic urokiem... I nic, i wszystko nic — póki ta wieńców wstęga czerwona, jak rana przez pierś kamienną biegnąca — nie spłynie wstęgą krwi. Wstęgą ogromną, strugą czerwoną, rzeką straszliwą, mierzem kipiącym...

*J. Kaden-Bandrowski.*



## O nieznanym aforyzmie Zygmunta Krasińskiego.

„La terre est un vaste cer-  
cueil, volant dans l'univers“.

*Sigismond Krasiński.*

Jakiż nastrój grobowy opanował był geniusz umysłowy autora „Irydjona“ w chwili, kiedy rzucał aforyzm powyższy na karty albumu pamiątkowego znanego profesora warszawskiego Ferd. Bernhardta, kiedy rzucił myśl porównującą ziemię do wielkiej trumny unoszącej się w przestworzu. Ten nasz piękny pod względem przyrodzonych właściwości odradzania się i zamierania twór planetarny. Ten glob cudownie snadź powstały z garści prochu rzuconej przez Stwórcę w głąb tajemniczą wszechświata. Tę naszą ziemię tragiczną, pełną wyższych i niższych duchów, jestestw olbrzymich i mikroorganicznych, żywych i trupich, ziemię-trumnę a jednak pełną czarów najbujniejszego życia, spowitą w tęcze i blaski złociste lub czarne woale gwiazdami lśniącej srebrnemi...

Aforyzm wielkiego twórcy „Nieboskiej“ znaleźliśmy w stylowym „à l'empire“ sztambuchu z lat 1820 — 32, w imionniku z treści swej językowej kosmopolitycznym. Z własnoręczników polskich świeci w nim imię znakomitego słownikarza Sam. Bog. Lindego (z 1822 r. łaćnińskie pro memoria), zresztą in-

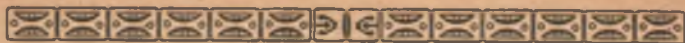
nych chwil naszych brak, przeważają w podpisach Varsovie et Vienne, rzeczy głównie francuskie.

Sztambuch ozdobny, złotobrzeżny, w zielony oprawny safjan. Wdzięcznie ozdabiają jego podłużne różnobarwne stroniczki akwarele i rysunki amatorów i dyletantów, często bardzo zgrabne i alegorycznie miłe (nie brak i efektownej z papieru laurkowej wycinanki).

Albumik pochodzi z Warszawy; był własnością antykwarjusza Malińskiego, potem drogą faciendy przeszedł do rąk wileńskiego kolekcjonera Bol. Szulskiego, wreszcie — do kreślącego te słowa.

*Lucjan Sulima-Uziębło.*





## Renesans.

(Bajka).

Stary porządek padł.  
Bydłęta,  
poddaństwa zrzuciwszy pęta,  
nowy ogłosiły ład —  
ład nowy, co się wyraża  
dyktaturą inwentarza.

Pożegnawszy się z obórką,  
młody byczek, z kółkiem w nosie,  
galopem obiegł podwórko,  
a gdy łbem palnął w latarnię,  
ryknął: — Stało się!  
Oł, leży marnie!...  
Precz wszystkie ludzkie wymysły,  
gdy więzy prysły.  
— Precz! — potwierdziła gromada.  
Nie myśląc wiele,  
z osłem na czele  
do ogrodu hurmem wpada  
i dalejże do roboty:  
łamię drzewa, słupy, płoty;  
tryumfu wydając kwiki,  
depce klomby i trawniki...  
Świnie gorliwie reformują grządki,  
chcąc nowoczesne utrwalić porządki...



Kto jeno może, gnojem kala studnię,  
by nie nęciła jej czystość obłudnie...

Wreszcie, wśród zwałonych drzew,  
legła obora i stajnia, i chlew.  
Gdy się już wszyscy dobrze spracowali,  
pyta skop osła: — Co dalej?  
— Jakto, co dalej?

— Ano, hm, psia-mać!

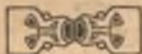
Co tera żyć?... gdzie spać?...


— Głupstwo! — rzekł osiel — tylko się zastanów,  
co to za szczęście: niema śladu panów  
i świat możemy odbudować ślicznie,  
maksymalistycznie,  
odnowa!...

— Ale jak?

— W tem już nasza głowa:  
osła, barania, wołowa...

*Benedykt Hertz.*





## Junaki

Wał chmur czarnych górą leci  
Mróz twarz siecze, skrzypi śnieg,  
Wicher wyje wskroś zamieci,  
Jakby się sam djabeł wściekł.  
W kniejach wilcze błyszczą ślepie,  
Wietrzy zwierz gdzieś śladów trop,  
Mróz przenika, śnieg oślepie,  
Dmie tumanem w niebios strop.  
Noc czarownic sabbatowa  
Co po chatach wzmaga lęk,  
Co w nich modlitw budzi słowa —  
Świst wokoło, chichot, jęk!...

• • • • •  
Poprzez knieje, haszcze, jary,  
Wśród zgubionych kędyś dróg,  
Kto tych zuchów nie do wiary,  
Pędzi? Szatan czy sam Bóg?  
Na tym kurta, ów w mundurze,  
Ten rozwiany nosi płaszcz,  
Wiatr dmie zwoje fałd ku górze  
I rozdziera w skrętach haszcz.  
Každy jeździec z koniem zrosły!  
Jak ryś piechur! Toczą krąg,  
W bok prawice się uniosły,  
Głównie szabel lśnią u rąk.  
Hej rycerskie to junaki,  
Dąbrowczyki, zabijakil

Mkną. — „Rotmistrzu, ich dwudziestu  
Na jednego! Siła jest!“  
— „Bies ich! choćby nawet dwiestu!“  
Mruknie rotmistrz, czyniąc giest:  
— „Broń?“ „Miotacze. U nas zrazu  
To co w garści.“ „A czy wać  
Masz garść?“ „Mam, wedle rozkazu!...“  
— „Więc broń dziczy brać — i prać!  
W konie chłopcy! Naprzód dzieci!  
Ciszej!“ Niby sęp po łup  
W szumie wichru oddział leci — —  
Czubarycki wietrząc trup.  
    To rycerskie mkną junaki,  
    Dąbrowczyki, zabijakil

Krzyk, zgiełk wzbil się niespodzianie  
Tam, z obozu krwawych hord,  
Grad piorunnych cięć spadł na nie.  
— „Ha Dambrowskij! etyj czort!  
Ha, Dambrowskij! Jewo głaza  
Smiert i puli k'nam niesut!  
Da! Smiert od pierwawo raza!  
Jewo — puli nie bierut!“  
Już armatki w polskich ręku!  
Już i w więzach jeńców stu!  
A wśród własnych dział swych jęku  
Dzicz w rozsypce gna co tchu.  
    Hej, rycerskież bo junaki  
    Dąbrowczyki, zabijakil

I wciąż naprzód. dalej, dalej,  
Partyzancka ona brać

Prze lichwiarzy i Moskali  
Byle precz ich z Litwy gnać!  
To jak jastrząb z góry spada  
Na krwawego cielska miąsz,  
To się ślizga, to przekrada  
Wśród czerwonych hord, jak wąż.  
Brak wszystkiego! Ziąb przenika,  
Pękł karabin, but spadł z nóg —  
Furda to dla Dąbrowczyka!  
Naprzód! Wszystko — da nam wróg!  
Hej, rycerskie to junaki  
Dąbrowczyki, zabijaki!

A po Wilnie, jak ptak biały  
Leci już skrzydlata wieść:  
— „Nasze chłopcy odebrały  
Pińsk, Prużanę, Słonim, Brześć!“  
Ej, na karku bolszewika  
Wpaść do Wilna — to ich sen,  
Sen, co dusze im przenika,  
Lecz rodzinne Wilno hen...  
Na północy... Ich garść mała,  
Dość — by jeno szarpać, kłuć...  
Mknie na północ myśl, jak strzała,  
Tęskni doń rycerska młodź — —  
Boć wileńskie to junaki  
Dąbrowczyki, zabijaki!

Wilno!... W cudny dzień majowy  
Z chwałą wejść do jego bram..  
Co tam matka droga powie?  
A dziewczyna?...

Co mi tam!  
Co fanfary żołnierzowi?  
Furdal Co się pysznić mam!  
Toć my Polsce, Narodowi  
Służym wiernie tu — czy tam!  
Toć w terminach tych, Macierzy  
Ja z rozkoszą krew swą dam,  
Wszędzie sława dla żołnierzy  
Służba jedna — tu czy tam!  
Ej rycerskież wy junaki  
Dąbrowczyki, zabijaki!

. . . . .  
Gdy przeminie już lat wiele,  
Gdy pokryje dzieje pleśń,  
Po miasteczku, wiosce, siele  
Będzie o nich dzwonić pieśń,  
Będzie o nich u wrzeczona  
Dziewka nucić, kręcąc nić,  
Mocne prężąc swe ramiona  
Będą o nich chłopcy śnić...  
Kiedy lat przeminie mnogo,  
Pójdzie traktem siwy dziad.  
Pójdzie ścieżką, pójdzie drogą  
Od miast gwarnych — aż do chat,  
I na wzgórkach gdzieś, przy krzyżu,  
Niosąc zdała nową wieść,  
Będzie ludziom, po pacierzu  
Dziwną, starą bajkę pleść:  
O rycerzach, o junakach,  
Dąbrowczykach, zabijakach...

*Wanda Stanisławska.*





## Pierwszy podpis.

Wiec w Oborku. 5.000 osób. Szary, falujący pod wpływem nowych nieznanych wrażeń tłum. Zasluchane twarze porane brózdami niewoli, po których spływają ciężkie, powolne, chłopskie łzy.

Słuchają o Polsce dalekiej, a która jest w ich sercach, i w mowie łamanej, i w pacierzu żarliwym, i w czytaniu kulawem.

„Podpisać się na Polszcza!“ Tysiące wyciąga się spracowanych rąk, by choć krzyżyk położyć. Któż ich bowiem mógł uczyć tych analfabetów!

„Puskaj kuma!“ przeciska się przez tłum stara babina „ja pod ten papier podpiszę się. Nikt tego nie wie, panienko złota, że ja rozpisac się umiem, a ja ot, mogę!“ mówi wymijająco. „Dawniej cóż? Nie wolno było. Kradnij jak chcesz, rozpustnie żyj, ale pisać po swojemu, czytać, nie wolno było, od samego cara, słyszę, zabroniono. To bywało, ja do nauk zdolna była, tylko nie było gdzie. Raz pamiętam, ten lucyfer kudłaty zobaczył mnie z lementarzem natarmosił, wywstydził.. a ja nic tylko, myślę sobie: już ty mnie, poganinie, nie zobaczysz z książką. Na piecu z bratem uczyła się, panienczko, jak ciemniejszy dzień, to pod ławą. A co powiesz, panienka, to i tak złapali! Uradnik przyleciał, nahajem plecy porał. To brat płakał, a ja taki nie, tylko nadto serd-

ce bolało. Nosiła pręgi na plecach tłuste jak kiełbasy, a nie płakała. Czyż to nie pohany były? A ot kiedyś syn z Ameryki pismo zakazne przysłał. Woła ją do kancelarji: „rozpis'sia“ pisarz mówi. Ja nau czona, drugi raz bić się nie dam. „Nie umiem“, mówię. To oni rozpisali się. Ale teraz pod taką świętą rzeczą, to ja swoja familja położę. Jak chcąc, pisać umiem, wiadomo człowiek nauczony, choć pod ławą.“

M. S.

\* \*  
\* \*

W nieskończoność niczem nieokreślonych przestrzeni, uderzył grom z wszechpotężnej woli, słowem „Stań się!“ rozbijając chaos mglisty i kłębiący się pierwiastkami życia. Rozstąpiły się przestrzenie, targnęły mgławicowe ławy rozkołysane przenikającym je Duchem. Zarysowywać się poczęły formy światów, załączki planet... Z cieniów martwej nieskończoności wydierać się zaczęły jasne smugi dążące ku jednemu ognisku Ducha, przez Niego wywołane, z Niego powstałe. Przenikać zaczęły ożywczeni prądy cienie nocy wieczystej, rozprysły się w miliardowe atomy, rozszarpały przestrzenie i złąły się w przeogromną potęgę jasności.

Światło!

Ciemność!

Dwie fale, dwie potęgi wszechświata stanęły przeciw sobie, a Bóg potęgą tym rzekł „Walczcie“.


I sycić się jęło światło pochłanianą ciemnością, i zanikać zaczęła Ciemność w zetknięciu ze Światłością. Najmniejszy atom, najmniejsza iskra boskiego ognia, była potężniejsza od potęg królów i mocarstw.

Na małe, drobne iskry, tlejące w duszach dzieci naszych kurnych chat, na mdlejące w trudzie kaganki oświaty, na dłońmi młodzieży wzniecane pożary uczuć, na pochodnie mężną dłonią bohaterów niesione przed ośleplym w trwodze, przypadłym do ziemi, niewolnym narodem, na ciche ogniska domów naszych szły czarne Kohorty Ciemności. Dławiące jak sadze, jak bagno, jak duszna noc, szły potężne ławice czerni duchowej i kałąc się całym ciężarem nienawiści, dławiły, pluły, krzyżowały, zakopywały w groby... i... co chwila, co godzina, co rok, oglądały cudowne, Boże Zmartwychwstanie w słonecznej Głorji Światła.

*Hel. Rómer.*

Oto klucz do skarbów Sinobrodego, lampka Aladyna, czarodziejskiem zaklęciem otwierająca Sezamy, oto miecz na wrogów, oto kamień węgielny potęgi Ojczyzny, błyskawica światła w cieniach nocy, niezmierna mądrość w rączkach dziecka, niebezpieczeństwo i czar, trucizna i leki na bóle duszy, płomień co pożary wznieca. W czym się mieści? Cóż to jest to: to wszystko razem takie czarodziejskie i dziwne?? To elementarz.





## Dwudziesty października.

Młodzieży szkolnej i legionistom wileńskim.

### I.

A wśród szeregu jasnych i słonecznych dni  
Przyszła niedziela chmurna, upowita w mgły,  
Jakgdyby Bóg okazać chciał swój żal i gniew,  
Że niewinna przed domem Jego spłynie krew.

Dzwoni dzwon na Katedrze, ten jedyny dzwon,  
Co ująć zdołał moskiewskich, carskich, chciwych szpon.  
O ty jedyny dzwoniel Na twój mocny dźwięk  
Odpadły od serc słabych nieśmiałość i lęk.

I śpieszy ulicami w pośród polskich barw,  
W pośród srebrzystych orłów i dwubarwnych szarf  
Na plac, gdzie Jagiellonów stary stoi tum,  
Z najdalszych krańców Wilna uniesiony tłum.

Idzie swojemu Bogu dzięki do stóp nieść  
Na tę, z za oceanu błyskawiczną wieść:  
Że Polska—to „rzecz wielka“ wśród światowych spraw  
I że odtąd żyć będzie w pełni ludzkich praw.

Że Polska — to jest Naród! Że to nie jest trup,  
Który można bezkarnie, jak strzęp, strącić w grób  
Że Zjednoczona, cała, ma w swych ziemiach być,  
I Wolna, Niepodległa w pośród ludów żyć!



Siedem tysięcy piersi wśród kościelnych naw  
Woła: „O Święty, Mocny, zbaw Twe dzieci, zbaw!  
Drugie siedem tysięcy przed świątyni próg  
Pod niebem modły wznosi: „Sprawiedliwy Bóg!“

Dzwoni dzwon na Katedrze, ten jedyny dzwon.  
Co ujść zdołał moskiewskich, carskich, chciwych szpon.  
O ty dzwoniel! Jedyny, co tu trzymasz straż,  
Do wtóru sercom naszym jak tętnisz i grasz!

---

II.

— „O ptaku biały! Z za jakich ty krat  
Z jakich tyś więzień na miasto nam spadł  
I swe białe lico  
Poniósł nad ulicą,  
Ty — coś był w niewoli sto lat?

— „O Orle Biały, na polu, jak krew,  
Z Katedry wyniósł cię tysięcy śpiew  
I w górze nad nami  
Łopocesz skrzydłami  
Na walkę prowadzisz? Na krew?

— „O Orle Biały, kogo wiedziesz w bój?  
Co znaczy główek tych dziecięcych rój?  
— — „Ja te głowy młode  
W Ostrą Bramę wiodę  
Tam do Matki — — nie w bój, nie w bój...



— „O Orle Biały, jaki wiesz huf?  
Jakich to żołnierzy? O mów, ptaku, mów!

— — „Wiodę legjonisty,  
Ten zastęp sprężysty  
Nie ma broni prócz pieśni słów.

O Orle Biały, jaki wiesz lud,  
Czy na miecz idzie z pod Katedry wrót?

— — „Ludu tego rzesza  
Do Matki pośpiesza  
Za zbawienia dziękować cud.

Furczą sztandary nad morzem głów  
W takt stóp tysięcy, w rytm „Marsza” słów:

„Za twoim przewodem  
Złączym się z Narodem“  
Z całą Polską połączym się znów!

— — „Ej, Orle Biały! Srebrne skrzydła złóż,  
Widzisz? Tam Niemcy, tam bagnet i nóż,

I na tłum ten cały  
Posypią się strzały  
I krew się pôleje, jak z kruż!

Lecz ptak piastowy ponad morzem ciał  
Jeno skrzydłami królewskimi chwiał:

— — Nie wierzę, nie wierzę,  
Toć to są — żołnierzel  
Do bezbronnych kto strzelaćby śmiał?

---

III.

— Halt! U Zamkowej nagle wrót  
Zakrzyknie głos gardłowy,  
— Weg, wegl — W milczeniu stanął lud,  
Na chwilę schylił głowy...

Lecz wnet: „Niech żyje Polska!“ wkrąg  
Młodzieńcze hukną głosy,  
Czapeczek setki, setki rąk  
Wylata pod niebiosy.

„Niech żyje Polska!“ huczy tłum,  
Na wszystko już gotowy,  
Aż się rozdzwonił stary tum,  
Ten tum Jagiellonowy!

— Hej, chłopcy, w prawo zwrot i marsz.  
Iść Uniwersytecką!  
Sprawnie, jak pod komendę szarż,  
Kroczy skaut, zwraca dziecko.

„Nie rzucim ziemi, skąd nasz ród,  
Nie damy pogrześć mowy...“  
Śpiewają szkoły, z niemi lud  
Na wszystko już gotowy.

„Nie będzie Niemiec pluł nam w twarz,  
Ni dzieci nam germanił,  
Orężny wstanie hufiec nasz  
Duch będzie nam hetmanil!“

A tam, u Niemców wściekłość wre:  
— „Co to za lud zuchwały!  
Kto panem — poznasz, plemię psie,  
Gdy się posypią strzały!

Od Świętojerskiej pierwszy strzał  
Padł, za nim drugi, trzeci,  
Nie przerwał się młodzieży wał,  
Choć się przelekły dzieci...

Nic! Idą chłopcy, niby mur,  
Pierś naprzód, w górę głowa,  
Brzmi młodych głosów zgodny chór  
Pod twarde „Roty“ słowa:

— „Pójdziem, gdy zabrzmie Złoty Róg!“  
Pójdą, choć na armaty!  
Pójdą! „Tak nam dopomóż Bóg!“  
O pomsta na was — katy.

Bo już żandarmi konni prą  
Wśród fali rozśpiewanej,  
Po głowach, barkach szable tną.  
Pierzcha lud tratowany.

— Verdammtes Vieh! — niemiecki „Fluch“  
Obija się o mury,  
Już legjonistów padło dwóch,  
Krwia broczą ich mundury.

Pod kopytami konia tuż  
Niejedno mdleje dziecko,  
A policjanta ostry nóż  
Z pod płaszcza żga zdradziecko.

.....  
U Jagiellonów tumu bram  
Och, sławna rzecz się stała:  
Niemiecka armja sztandar tam  
Polski — w strzęp posiekala!

U Jagiellonów tumu bram  
Czyn Niemców — znakomity:  
Bezbronny, stratowany lud,  
Młóź, dzieci i kobiety!

Ach, upłynęło tyle lat,  
Tyle się łez przelało,  
Na krwawy, potargany szmat  
Rozdarto Polski ciało...

Ach, upłynęło tyle lat  
Tyle się krwi przelało  
A polski mundur cały świat  
Wspomina dotąd z chwałą —

Z pod Wiednia, Lipska na nim krew,  
Z Grochowa i Raclawic,  
Za wolność ludów lana krew  
Z serc polskich, z polskich prawic!

Z pod Mohylowa świeża krew  
W rzezanych tam obronie,  
Gdy swój łabędzi śpiewał śpiew  
Nasz legion w tamtej stronie.

Niemasz przelanej na nim krwi  
Przez podły czyn zdradziecki,  
Którą wytaczasz butny ty,  
Pachołku ty niemiecki!

Żołnierzu polski! Mundur w czi  
Swoj nosisz! On twa chwała,  
A twój, krzyżaku, czyliż ci  
Nie pali dotąd ciała?

Prusaku ty, „zwycięzco“ ty,  
Z Kalisza, czy z nad Marny,  
Czyliż nie pali czoła ci  
Dzisiejszy tryumf marny?

Prusaku! Polskęś skąpał w krwi,  
Bez czi, bez zmiłowania,  
A w polskich sercach „Rota“ brzmi  
Od Wilna — do Poznania!

*W. Stanisławska.*

Wilno, 20/IX 1918.

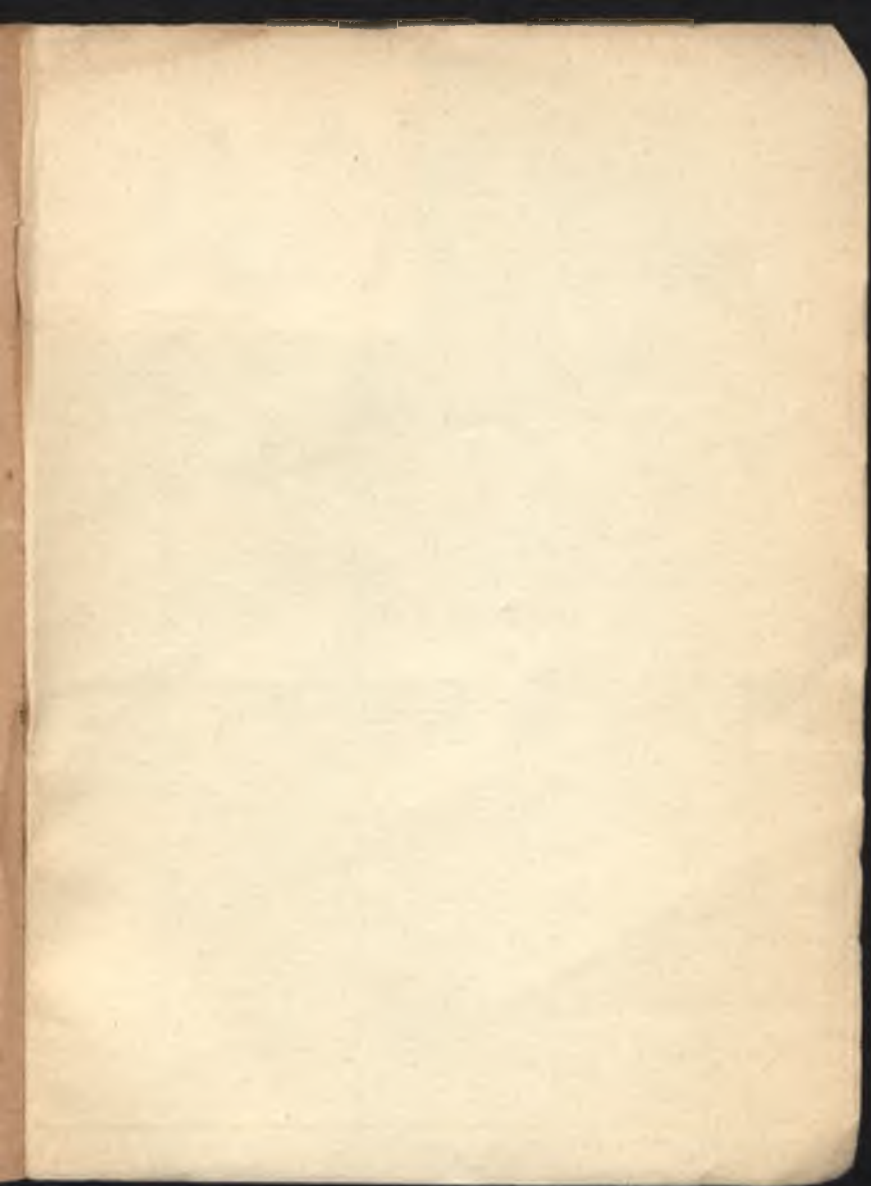




## Spis rzeczy.

	Str.
Stanisławska W. — Słowo wstępne . . . . .	5
Życka Władysława — Dwie lzy . . . . .	6
St. Sw. — Ó, bo zaprawdę (wiersz) . . . . .	10
St. Sw. — Więc górą serca (wiersz) . . . . .	11
Ruszczyć F. — Aforyzm . . . . .	12
Łukowska Józefa — Z niedawnej przeszłości . . . . .	13
Czarkowska Melanja — Aforyzm . . . . .	18
Kaden-Bandrowski J. — Mickiewicz na Krakowskim rynku	19
Ostachiewiczowa Kazimiera — „Fiat lux” . . . . .	21
Niedziałkowska (Dobaczewska) Wanda — Pod Grunwald (wiersz)	23
Dr. Zahorski Wl. — Antonina Tomaszewska (życiorys) . .	25
Ew-ka — Ojczyzna . . . . .	29
St. Sw. — Ratujmy ziemię (wiersz) . . . . .	31
Kaz. G. — Dla Ciebie, Matko . . . . .	32
Ew-ka — Kurjerki . . . . .	35
Gosztowtówna Jadwiga — Trzy szaty (wiersz) . . . . .	36
Węslawska Emilja — Europa i Azja . . . . .	37
Stanisławska Wanda — Nauczycielka (wiersz) . . . . .	43
Życka Ludwika — Migawki w czasie i przestrzeni . . . .	46
Kaden-Bandrowski J. — Kamień Kościuszki . . . . .	53
Uziębło Lucjan — Nieznany aforyzm Krasieńskiego . . .	54
Hertz Benedykt — Renesans (bajka) . . . . .	56
Stanisławska Wanda — Junaki (wiersz) . . . . .	58
M. S. — Pierwszy podpis . . . . .	62
Römer Hel. * * * . . . . .	63
Stanisławska Wanda — Dwudziesty października (wiersz) .	65

---



Biblioteka im. Hieronima  
Lopacińskiego w Lublinie

	857	c